

GŁAZ I RZEKA

Dla Leonarda da Jandry

Jej twarz była spalona od słońca prażącego od świtu po zmrok, od suchego powietrza i chmur kurzu chłoszczących brzeg; przeorana bruzdami pełnymi najróżniejszych historii Jej odpowiedzią na samotność i porzucenie była cierpliwość. Kobięce pragnienia emanujące z podbrzusza stłumiła wiarą w powrót męża. Starość przyjęła z upartą rezygnacją, która dzień w dzień prowadzi ją na brzeg rzeki i każe wpatrywać się bez przerwy w tamte ziemie, które kiedyś też były Meksykiem. Ulgę w czekaniu przynosi jej mądrość odziedziczona po przodkach, a także ta jeszcze starsza, bolesna, którą szeptem powtarzają toczone korytem wody, bo tu nieruchomy jest tylko czas.

- Dlaczego zawsze patrzysz na rzekę, Dolores?
- Ja nie patrzę: ja słucham.
- Łoskotu wody przewalającej się po kamieniach?
- Nie. Tego, co woda niesie: głosów, który przychodzą z bardzo daleka.
- Ja tam nic nie słyszę.

Ze swojego kamiennego siedzenia widziała tysiące rodaków, pielgrzymów poszukujących raj, który utraciliśmy ponad wiek temu. Ona jednak nie wchodzi w nurt rzeki: religijny lęk powstrzymuje ją nawet przed tym, by zmożyć w Río Bravo choćby koniuszki palców. Mimo to niektórzy twierdzą, że widzieli ją, jak chodzi po wodzie, kobiety i dzieci, biorąc ją za pokutującą duszę, odchodzą, żeby jak najszybciej schronić się pod dachem. Choć mężczyźni ją szanują i przychodzą po błogosławieństwo, nim wyruszą do roboty, nikt nigdy nie zdołał przeniknąć jej tajemnicy; nikt nie potrafił pojąć

bólu ukrytego w tej chudej postaci, jej błędzącego spojrzenia, wyrazu wieczności na jej twarzy. Tylko koty zawsze jej towarzyszą, ocierają się grzbietami o znoszone halki i miauczą łakomie, kiedy ona wyciąga prowiant dla siebie i skórki dla nich. Gdy słońce się chowa, drobne cienie odprowadzające ją z powrotem do chaty, ze ślepiami błyszczącymi jak węgielki, płoszą echa legend ścielące się po drodze.

- Dlaczego kobiety się ciebie boją, Dolores?
- Nie boją się. Są nieufne. Po prostu mnie nie znają.
- A dzieci?
- Ty jesteś dzieckiem. I co, boisz się?
- Nie, ja nie.

Starsi ludzie mówią, że tylko ona widziała, jak zaludniają się oba brzegi. Że od zawsze mieszka w tym samym miejscu, jeszcze od czasu, kiedy te dwa miasta były nędznymi skupiskami domów. Przez kolejne lata patrzyła, jak pastwiska należące do farm bydła rozrastają się po jankeski horyzont, podczas gdy tutaj, na południe od rzeki, wściekła pustynia, która nie wiadomo skąd przyszła, pochłaniała całą dobrą ziemię, aż w końcu zostały nam te pustkowia, z powodu braku wody upstrzone tylko kępami krzewów i chaszczami. Mówi się, że przetrwała powódzie, które zabierały wszystko, ale jej dom oszczędzały. Widziała też te wszystkie susze, kiedy to koryto rzeki się kurczy, a nazwa Río Bravo traci sens, bo zamiast brawurowego nurtu cieknie wątła strużka, krystaliczny strumyczek dręczony kłującym słońcem, parujący między kamieniami. Rzadkie tu występuje połączenie: powódzie i pustynia albo topiel, albo śmierć z pragnienia. Była tu, kiedy zniknęły łódki i pojawiły się mosty; kiedy gringos dociągnęli z północy swoje szosy, a budynki rosły coraz wyżej, tak wysoko, jak nigdy nie sięgały na tych ziemiach wzgórza czy drzewa.

- Ile masz lat, Dolores?
- Wiele, moje dziecko; tyle, że sama już nie pamiętam.
- Jesteś bardzo stara?

- Bardzo.
- A ja będę kiedyś tak stary jak ty?
- Kiedy osiągniesz mój wiek, tak.
- A na co ci tyle lat?
- Żeby je wszystkie przeżyć, słuchać historii, oglądać różne rzeczy, pamiętać... sam się przekonasz, jak będziesz stary.
- Ja nie chcę być stary.

Niektórzy uważają ją za czarownicę, praktykującą sztuki magiczne dzięki łaskawości trudno powiedzieć jakiego legionu diabłów. Powiada się, że liczy sobie ponad sto pięćdziesiąt lat, że urodziła się na Północy, ale nie chciała być gringą, więc przyjechała tu razem z innymi rodzinami pragnącymi osiedlić się na meksykańskiej ziemi, kiedy zakładano miasto. To działo się w minionym wieku, po wojnie, która przesunęła granicę aż tutaj, ona przyniosła ze sobą kości zmarłych z tamtego Laredo i pochowała je pod płótem, bez krzyża czy nagrobka. Od tego czasu mieszka w pobliżu swoich nieboszczyków oraz Río Bravo, gdzie żyją diabły, które do niej przemawiają, opowiadają różne historie i dają moc. Dzieci utrzymują, że to sama Llorona, Płaczka z legend, bo kiedy woda płynie wzburzona, wydając jęklliwe skargi, wiele osób, jak twierdzą, widziało ją pochyloną nad nurtem.

- Dlaczego tyle o tobie opowiadają różnych rzeczy?
- Tacy już są ludzie... A co ci powiedzieli?
- Że jesteś czarownicą, że masz pakt ze Złym, że to nieprawda, że czekasz na męża, bo na pewno od dawna już nie żyje...
- To kłamstwo, gdyby mój Zacarías umarł, rzeka już by mi to powiedziała.
- Mówią też, że jesteś wariatką, bo rozmawiasz z rzeką. Rzeka do ciebie mówi, Dolores?
- Codziennie coś mi opowiada o tych, co idą na Północ. Zawiadamia mnie o topielcach, o tych, którzy się przeprawiają, o takich, co wracają bogaci albo jeszcze biedniejsi...

Tak tu ludzie gadają, ale ja ją znam i wiem, że to bardzo pocziwa staruszka, która przez całe życie pomaga innym, wciąż czekając na męża. Już wiele lat temu jej sława jako świętej rozeszła się po północnych stanach i dolinie Teksasu i wcale nie mało ludzi przybywa tu z bardzo dalekich miejsc, żeby swoim błogosławieństwem wypędziła złe duchy z ich ciał. Nikt nie może zaprzeczyć, że służy poradą, mądrze i z mocą. Migranci nazywają ją „mateczką” i przychodzą zobaczyć się z nią przy jej głazie. Ona, poważna, mimo lat wyprostowana, gładzi ich pomarszczoną dłońią po czołach i mamrocze jakieś słowa, nie spuszczać wzroku z północnych ziem, nieustannie wypatrując małżonka.

– Co mówisz tym ludziom, którzy przekraczają granicę, Dolores?

– Żeby na siebie uważali i żeby im Bóg towarzyszył, niech tam idą i coś odzyskają, choćby troszkę z tego, co kiedyś było nasze... żeby znaleźli mojego Zacariasa i powiedzieli mu, że czekam tu na niego, dzień w dzień...

– A dlaczego sama nie pójdziesz go szukać?

– Bo przeprawa na drugą stronę to męska rzecz. Jeśli idzie z nimi kobieta, zapuszczają tam korzenie i nigdy nie wracają.

– Jak dorosnę, pójdę tam i go znajdę.

Niewiele wie, że nazywa się Dolores Cerillo; dla niektórych to po prostu wariatka znad rzeki i prawie wszyscy mówią o niej „słup soli”. Nigdy się nie rusza, powtarzają ludzie, jest jak głaz: głaz nadrzeczny. Pamiętam ją od zawsze, niemal od dnia, w którym otwarły się moje oczy; kiedy byłem szczylem, ona już była stara, jak zawsze. Podszedłem do niej, dygocząc ze strachu, tego poranka, kiedy mój ojciec zjawił się prosić o błogosławieństwo, bo wyruszał rwać pomarańcze na plantacjach u gringos. Tak jak wszyscy, on też ukląkł na ziemi na jedno kolano i spuścił oczy, czując chropowaty dotyk jej palców na czole. Staruszka wyszeptała modlitwę

i wydało mi się, że wyraźnie słyszę ostatnie jej słowa: „Idź z Bogiem i uważaj na rzekę nocą”. Potem ojciec wziął mnie za rękę i podprowadziwszy bliżej, powiedział: „Mateczko, proszę też o opiekę nad moim synem, proszę mieć na niego oko, kiedy będę daleko, żeby wyrósł na prawdziwego mężczyznę”. Nie odpowiedziała, ale widziałem, że na moment odrywa wzrok od Północy, żeby popatrzeć mi w twarz: grymas, który wówczas uznałem za uśmiech, wykrzywił lekko jej usta i cały strach wyparował ze mnie jakby zmieciony jednym powiewem. Ojciec jeszcze tej nocy ruszył na tamtą stronę, a ja od następnego dnia zmieniłem się w drugi słup soli, mniejszy, spędzając wszystkie popołudnia u boku staruszki.

Przez wiele dni nie usłyszałem już jej głosu, aż prawie zapomniałem jego brzmienia i tonu. Rzeczywiście przypominała posąg: jej milczenie było jak z kamienia, zmieniało ją uporczywie w czystą kontemplację, spojrzenie utkwione gdzieś poza światem. Dolores odezwała się jednak pewnego popołudnia, kiedy dwoje migrantów podeszło do niej, prosząc o błogosławieństwo. Wtedy słowa „uwaga na rzekę” dobiegły jakby z daleka, tak jak w starych litaniach i modłach. Jej głos był podszyty szeptem, przypominał mi świst wiatru przewiewającego delikatnie przez zarośla, bez mocnych tonów, bez szorstkości, jakich można by się spodziewać po tak sędziwej postaci. Kiedy tamci odeszli, Dolores znów zamilkła i nie odważyłem się do niej odzywać.

Minęło wiele dni, podobnych jak krople wody. Bardzo wcześnie wychodziłem z chaty, w której mieszkaliśmy z ojcem, żeby, zrezygnowany, przyłączyć się w tej mojej sierociej samotności do milczącej staruszki. Dolores sprawiała wrażenie, jakby mnie nie zauważała, ale słysząc, że nadchodzę, wyciągała dla mnie tortillę albo ćwierć podeschłego bochenka chleba, albo kawałek boczkusa, nie patrząc na mnie, obojętnie, jakbym był jednym z tych kotów, które jej towarzyszyły. Tylko gdy zapędziłem się trochę daleko